

# Gay uratowany!

**P**rzed dwoma tygodniami pisałem o zabójstwie jakiego Niemiec aktorzy pod wodzą włoskiego reżysera Roberta Ciulli dokonali na Brechtie i jego „Operze za trzy grosze”, wystawionej przez nich w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Miło mi zawiadomić dzisiaj Czytelników, że dzięki Teatrowi Ludowemu w Nowej Hucie uratował się przynajmniej John Gay i jego „Opera żebracza”, którą to osiemnastowieczną angielską sztukę Brecht wziął niegdyś za temat i podstawę swojej słynnej przeróbki. Warto to podkreślić tym bardziej, że „Opera żebracza” Gaya nigdy jeszcze dotychczas nie była grana w Krakowie, a jest to sztuka słynna niezwykle i jej londyńska prapremiera w Lincoln's Inn Theatre (w r. 1728) stała się wydarzeniem w dziejach teatru epokowym.

„Anglia pierwszej połowy XVIII wieku była krajem dzikiego awanturnictwa” — pisze Juliusz Żulawski we wstępie do swego przekładu „Opery żebraczej” (PIW, 1959). Aferę finansową i zwykłe kradzieże, oszustwa, rozboje i morderstwa zdarzały się niemal codziennie, a ogólnej korupcji patronował cyniczny Sr Robert Walpole, sprawujący za panowania Jerzego II — ni mniej, ni więcej — tylko urząd premiera. Równocześnie kwitło jednak życie literackie (trwał przecież jeszcze „Augustan Age”, znaczone nazwiskami Drydena, Pope'a, Arbuthnota, Defoe'go, Swifta), w Londynie działało kilka teatrów, a wielki Haendel w Haymarket Opera występował — obok własnych — ciesząc się wielkim powodzeniem konwencjonalne opery włoskie.

I oto zjawia się mało znanu dotychczas poeta i satyryk John Gay ze swoją „Beggar's Opera”, która jest ostrą satyrą na społeczeństwo w ogóle, a na jego rząd i tzw. wyższe sfery z premierem Walpole na czele w szczególności. Jest to poza tym głośna i ciekawa kopia z opery konwencjonalnej. Zamiast postaci kurtynowych tej bohaterami są paserz, bandyci, złodzieje i prostytutka (główny bohater Peachum jest niemal portretem urzędującego premiera!), a zamiast hieratycznej i sentymentalnej muzyki niejaki Johann Christoph Pepusch, emigrant z Niemiec, dobiega do tekstu Gaya kilkadziesiąt znanych ludowych melodii, w wercie podobno komponuje sam, kradnie też (na złość mistrzowi!) jakiś fragment kompozycji Haendla.

Sztukę, odrzuconą przedtem przez inne teatry, wystawia w końcu John Rich i odnosi olbrzymi sukces! Tłumu oblegają teatr przez kilka tygodni. Po angielsku „gay” znaczy „wesoły”, a „rich” — „bogaty”. Wkrótce więc mówi się w Londynie, że ta niezwykła sztuka „made Rich gay and Gay rich”, czyli „uczyniła Richa wesołym, a Gaya bog-

atym”. Co było zgodne z prawdą. Wszystkich fascynowało jej przesłanie, mówiące, że tzw. „wielki świat” i świat przestępczy, to jedna i ta sama klika; ważny jest tylko interes, a w dążeniu do niego wszystkie chwytaki są dozwolone.

Wystawiając „Operę żebracza” Teatr w Nowej Hucie, kierowany przez Jerzego Fedorowicza, nie miał łatwego zadania. Ale przygotował się do niego starannie, zamawiając nową przekład sztuki u Michała Ronikiera, a muzykę u Jana Kantego Pawluśkiewicza. Zapraszając też kilkunastu aktorów z Teatru Starego na występ gościnny. Przedstawienie jest więc udane, przekład Ronikiera brzmi ze sceny świetnie, aktorzy bicia na głowę oglądanych niedawno przede mną w Warszawie aktorów niemieckich z brechtowskiej „Opery za trzy grosze”, scenografia Anny Marii Rachel jest — szczególnie w pierwszej części — doskonała (podobnie jak choreografia Jacka Tomasika), a wreszcie inscenizacja Krzysztofa Orzechowskiego, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że inscenizator nie mógł się oprzeć na żadnych tradycjach (ani przeciw nim się zbuntować), zasługuje na duże pochwały.

Wróże temu przedstawieniu długotrwałe powodzenie. Jest to przecież jedyna okazja — może na wiele następnych lat — obejrzenia sztuki, mającej już tak sławną — i tak skandaliczną — historię. Uratowanie dla naszych widzów sztuki Johna Gaya, niesłusznie zapomnianej i usuniętej w cień przez — genialną zresztą — przeróbkę Brechta, uważam za największą zasługę Teatru Ludowego.

Nie znaczy to, żebym chwalił to przedstawienie i polecając je gorąco krakowskiemu widzom, nie miał wobec niego zastrzeżeń, z których najważniejsze dotyczą — niestety — muzyki. Jest to muzyka kunsztowna i bardzo interesująca, ale nie nadająca się zupełnie do tego przedstawienia. Proszę sobie wyobrazić spektakl, którego integralną częścią są znakomite songi i ani jeden z nich nie „zostaje w uchu” choćby fragmentem melodii! A przecież widzowie powinni nucić te melodie, wychodząc z teatru! Zresztą i teksty owych songów (których autorem jest Michał Zabłocki) specjalnie mnie nie zachwycają. Wielka szkoda.

Mógłbym podyskutować też o kilku sprawach z inscenizatorem, ale nie mam tuż na to miejsca. Z pierwszej obsady podobały mi się Pollu (Beata Rybotycka) i Lucy (Aldona Jankowska). Macheath (Marek Litewka) był raczej bezbarwny, a Peachum (Krzysztof Jedrysek) zanadto sztuczny i krzykliwy. Zespołu opruszków i „panienek” — bardzo dobre. Nie widziałem drugiej obsady, ale przurzekam sobie jeszcze ją obejrzeć. W każdym razie w sumie — to sukces. I jakże współcześnie brzmi ta stara, hultajska sztuka!